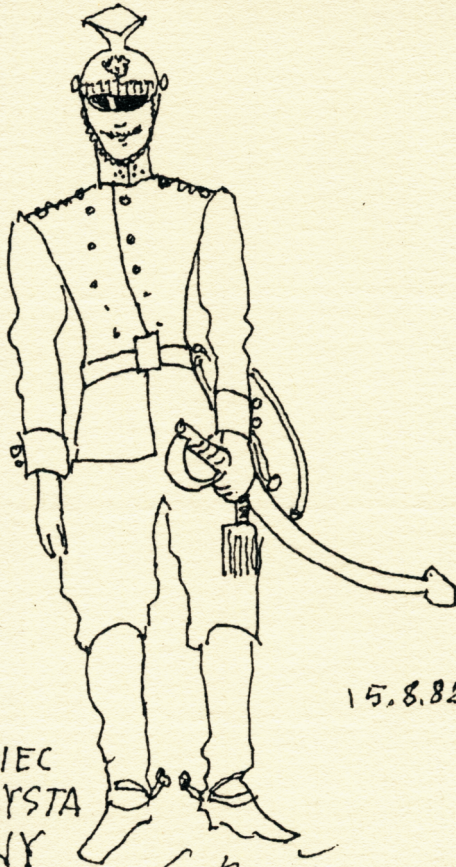


Przeinek 6

Wrocław / Vratislav / Breslau

Świat



MÓJ
OJCIEC
ARTYLERZYSTA
KONNY
1880 r.

15.8.82 r.

L. Pycha

125

Zwolennicy przecinka i mecenasi „Przecinka”

Przecinka na razie nie można zaprenumerować w „Ruchu” i na poczcie (na zamówienia listowne i telefoniczne egzemplarze wysyła REDAKCJA), natomiast można (zachęcam!) hojnie wesprzeć PISMO złotówkami i dukatami (każdy mecenas otrzyma odręczne podziękowanie na papierze czerpanym z Dusznik Zdroju i kolejne nry) wpłacając dowolną sumę na konto:
Jerzy Pluta Wrocław
PKO BP-I O/Wrocław
nr 10205226-13970-270-41.

Ponadto, oprócz darów pieniężnych, REDAKCJA przyjmuje dary w naturze (np. komputery, kłopiarki, faksy, koperty, znaczki pocztowe, długopisy i ołówki)... Wszystkim mecenasom z góry dziękuje

red. Piotr Cyryk

Wydanie „Przecinka” wsparli:

Petr Čížek, Praha (CZ).....	22,73 zł
Maria i Tymoteusz Karpowiczowie, Oak Park (USA).....	332,00 zł
Z.G., Karczew (PL).....	50,00 zł
Amelia Żymła, Wrocław (PL).....	18,00 zł

Na s. 1 okładki rysunek Leopolda Buczkowskiego (oryg.: 150 x 218 mm), wykonany we Wrocławiu 15 VIII 1982 r. czarnym flamastrem na duszniczym papierze chamois (Księga autografów Marii i Jerzego Plutów, s. 125).

Kwieciowe kosy w parku
Juliusza Słowackiego
(ale nie we Wrocławiu)

Dwa ciarnuchy. Tam trzej. A
takie ziódny, ósmy. Ciggle coś
wydziabują na drzewkach i traw-
nikach. O ten (tam, tam pod
bukiem) wyrywa źdźbło trawy
(w żółtym dziobie zielona
wstżyka!) i odlatuje. Mosci
gniódko? J nic go nie obcho-
dzi, że go poduniam, że
zardrosnę mu nie fruwania,
lecz podskakiwania (jak on
to robi?). Nie podskakuj,
nie podskakuj — ileż to razy sty-
natem! Liatem, liattem, a
tu znówu: nie podskakuj, nie
jertes' kózka... Dnis' wiem: kosem
tei nie jestem.

Czy to on w swojej
konwertował po inżynierii?

(98)

Ju [Signature]

My, zjadacze kartofli, jesteśmy także zjadaczami chleba...

Wiemy: nie samym kartoflem człowiek żyje. Jesteśmy także nienasyconymi zjadaczami chleba (oby po wsze nasze dni!). Żytniego i pszennego. I żytnio-pszennego. I pumpernika z masłem. Po prostu: nie usłuchamy piekarza za rogiem, przechwalającego się, że jego bochenki najsmaczniejsze, skoro możemy codziennie kupić kilkadziesiąt metrów dalej – kilkadziesiąt gatunków chleba (w niektórych miastach nawet w Domach Chleba). Nigdy nie jedliśmy komiśniaka, choć żyją jeszcze wśród nas nieliczni, którzy i dziś odczuwają jego smak i zapach, za to wiele razy – chleb razowy. Gdzie te młyny wodne, w których tylko raz mielilo się (nie: wtedy się mello) mąkę żytnią? (O młynie wodnym nad Dramą, dopływem Kłodnicy, tylko słyszałem od ojca, podobno bywał w nim mój staroszek Piotr.) Tak, pożeramy także grahamy i brązowe pajdki z dodatkami nasion słonecznika, soi i lnu.

Ostrzegamy: nie damy się przerobić w aniołów (ani na tym, ani na tamtym świecie), nie damy się przerobić na mąkę kostną, ani na mięso armatnie, ani tym bardziej na amerykańskie kopyto. Ciała nasze niech lepiej pochłonie miejskie krematorium, prochy niech wrócą do matki ziemi, a lipy i buki niech wyrosną na naszych miniaturowych grobach, najlepiej bezimiennych, bo i tak nasze imiona i nazwiska, jeśli nawet zostaną wykute na granitowych płytach, pozostaną anonimowe (i dla współczesnych, i dla potomnych). Wystarczy, że kiedyś wiele razy musieliśmy przerabiać nasze ubrania i płaszcze, nasze myśli i uczucia. Już to przerabialiśmy (w szkole, w kościele i na akademiach): bez chleba nie ma nieba. Ale są i tacy, co pożywiają się kilka razy dziennie chlebem z masłem i szynką: od tych się stanowczo odcinamy. Gdy zabraknie nam chleba, będziemy jeść bułki; gdy nie będzie bułek, rzucimy się na ciastka. Pamiętamy, pamiętamy: nie samym chlebem człowiek żyje.

Przecinek

Male prozy
i marginalia
Jerzego Pluty

6

Wrocław/Wratislav/Breslau

Redaktor: Piotr Czyżyk

1998

Seria II: dla zjadaczy kartofli i słow(n)ików * © Copyright by Jerzy Pluta *
 Wszystkie prawa zastrzeżone / All rights reserved * Zezwolen na przedruki
 (lub tłumaczenia) udziela REDAKCJA: 53-533 Wrocław,
 ul. Zielińskiego 43 m. 10, tel. (071) 61 75 39*

Wydawca: na zlecenie Jerzego Pluty – **USŁUGI WYDAWNICZE** Ernest Dyczek, 54-206
 Wrocław, ul. Legnicka 156/4, tel. (071) 51 63 19. Nakład: 313 egz.

Od redaktora

Nie pierwszy raz Szef poszturchuje mnie (słownie, tylko słownie, bo niech by mnie „dutkanął”, to...), że słabo się staram i znowu nie zdobyłem funduszy na kolejne zeszyty *Przecinka*. No tak, Pryncypał wciąż naiwny jak przedszkolak: wierzył, że kapnie na PISMO trochę grosza z puli Wojewody, albo Ministra Kultury i Sztuki, albo Królewskiej Fundacji. Mówiłem mu – pisz, pisz podania, papier cierpliwy, a on się ludził, teraz – mnie mam – już wyleczony całkowicie. Mówię mu stale, że powinien liczyć jedynie na siebie (i na mnie) oraz na życzliwych (przyjaciół, znajomych i czytelników), to prawda. Np. jeden z „mecenatów” zapowiedział, że załatwi dotację na cztery nry, ale pod warunkiem, że *Przecinek* przedrukuje nadesłaną odezwę polityczną. Tak, mądrze napisał do Szefa jeden z życzliwych: *Nikt Panu nie da grosza bezinteresownie*. Więc nie ma już mecenatów, tylko sponsorzy? Żegnajcie naiwne złudzenia – naśmiewam się z Szefa, a on ponuro milczy. Bo co ma powiedzieć?

Za to ja wyruszam wkrótce w Góry Złote... Mam świetne mapy, tzw. satelitki (1:500!), wiem gdzie można kopać. Jak to napisał poeta Bruno? A tak: *Żyję życie i wierzę*. Natomiast ja będę żyłował żyłą złotą.

Wratislav: imię księcia, nazwa miasta, piwo markowe z Wratislavic...

Nazwa Wratislav (jak i Breslau) nie pojawia się na okładce *Przecinka* (już od z. 3) li tylko dla żartu; niewielu współczesnych wrocławianów pamięta (chce pamiętać) na co dzień, że Wrocław ma historię czesko-polsko-niemiecką, co znaczy, że i po czesku, i po niemiecku nasze miasto ma swoją rodzimą nazwę. Wiadomo: prawie tysiąc lat temu, w 1000 roku, we Wrocławiu należącym zaledwie od kilku lat do państwa Bolesława Chrobrego, powstało biskupstwo. Jak zapisano nazwę

cd. na s. 2



To nie jest reklama piwa:
to ilustracja...

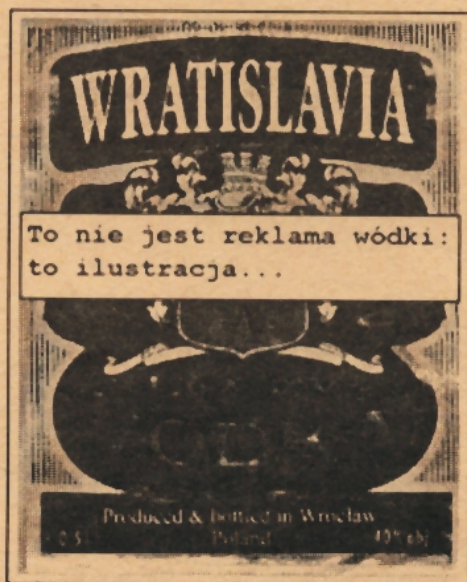
Vratislav...

miasta w łacińskich dokumentach? Czy w ogóle zachowały się jakieś zapisy z tego okresu w Bibliotece Watykańskiej? Jak nazywano po polsku jeden ze znaczniejszych grodów ówczesnego państwa piastowskiego? Dziś znowu Wrocław jest jedną z głównych metropolii Rzeczypospolitej. A co będzie za tysiąc lat? Och, to już nie nasze zmartwienie, na pewno... Wiadomo jednak, że Wrocław niewątpliwie ma więcej niż tysiąc lat: osada na wyspie odrzańskiej, zwanej później Ostrowem Tumskim, powstała co najmniej kilkadziesiąt (albo i kilkaset) lat wcześniej. Nasi historycy (choć zapewne nie wszyscy) jeszcze do niedawna powtarzali zgodnie (a głupio – por. także **Wrocław** T. Kulak), że nazwa miasta (jak Kraków od Kraka) wywodzi się od imienia legendarnego księcia Wrocisława (Warcisława), natomiast czescy badacze mogą bez propagandowego wydźwięku napisać, że to od imienia księcia Vratislava pochodzi nazwa Vratislav (dawniej z miękkim v w wygłosie). Nie ma znaczenia, czy chodzi o księcia legendarnego, czy też historycznego. To czeski książę Vratislav (zm. w 921 r.), ojciec księcia Vaclava (późniejszego świętego), przyłączył do swego państwa krainy leżące na północ od Sudetów. W latach 90. X w. wojowie Mieszka I i jego syna, Bolesława, podbili Śląsk. Wiadomo, że plemiona słowiańskie mieszkaly na tych ziemiach dopiero od kilku wieków (od piątego, albo i później), przedtem m. in. Celtowie, zapewne także Goci, a także tajemniczy (por. **Lilla Weneda**) Wenedzi. Może to Celtowie pierwsi założyli osadę na odrzańskiej wyspie? Jak się nazywała Odra po staro-celtycku? Jak osada, późniejszy Vratislav/Wrocław/Breslau? Ignoramus, ignoramus, jak pisali dawniej uczeni...

W 1000 roku skryba napisał na pergaminie: Vratislavia. Litera W w ogóle wówczas nie była znana („wynaleziono” ją dopiero w XIII w.) W XVI w. pojawiła się (ale tylko na mapach i rycinach) nazwa Wratislavia. Także

w herbie miasta z 1530 r. mamy literę W. Czy to rzeczywiście litera W, a nie dwie splecione litery V? Pamiętam, że na początku lat 60., na zajęciach z gramatyki historycznej, Bogdan Siciński (wówczas asystent, dziś profesor) wyjaśniał nam, że w XVI w. w antykwie renesansowej często U pisano jak V (i odwrotnie), że zapewne V V to po prostu pierwsze litery od pełnej nazwy: Urbs Vratislavia. Podawał to jako hipotezę, by nie podważać oficjalnej wersji, że herbowe W pochodzi od Wróciśława... A po drugie: w łacinie taki dziwoląg (Wratislavia) w ogóle nie istnieje! No tak, we Wrocławiu mamy wydawnictwo „Wratislavia” – i kilkanaście innych „podmiotów gospodarczych”. I nawet wódkę „Wratislavia” (nie wypiję ani kropelki, dopóki wytwórnia nie zmieni litery W na V!). Natomiast Czesi mają (w Pradze) ulicę Vratislavová, mogą też popijać piwo markowe „Vratislav” z Vratislavice.

To prawda, o czeskim Wrocławiu pamięta się najmniej. Na co dzień zmiewała nas wciąż Wrocław germański, ale nie jest to już Breslau (ani – jak dla Włochów – Breslavia). To Vratislav, Wrocław i Breslau. Mieszkamy w tych trzech miastach równocześnie? Oczywiście!



A o co chodzi?

Zawsze taki uprzejmy (ot, spotykamy się zawsze przypadkowo, kilka razy w tygodniu, na alejce obok szkoły, mieszka też chyba gdzieś w pobliżu: on – zasłużony emeryt – zawsze nosi w klapie marynarki miniaturkę orderu „Polonia Restituta”, ja – anonimowy rencista – nawet w niedzielę bez krawata), a dziś do mnie od razu, nieco obcesowo:

– Pan wybaczy, że zapytam...

– A o co chodzi? Coś piesek dzisiaj smutny! Wal pan śmiało, może się nie przewrócę.

– Pan wybaczy, ale coś nie widuję pana w naszym kościele. Niedawno nawet żona się pytała, czy...

– A może chodzimy do innych kościołów? Ja tak lubię kościół św. Macieja, gdzie pochowano Angelusa Silesiusa. Albo na inną godzinę?

– Na masona, ani na Żyda pan nie wygląda. Choć ta pana broda... To na którą godzinę? Bo ja zawsze na dziewiątą.

– Na dziewiątą? A może jestem, pan wybaczy, neopoganinem? Albo żydokomunomasonem?

– I pan?

(10 VIII 97)

Czy stolarz Lanz orał kiedyś traktorem „Lanz”?

Nie wiadomo, czy w ogóle żył sobie kiedyś stolarz Lanz (w jakim mieście? w jakich latach?), który wynajmował mieszkanie na punkt kontaktowy. A poza tym: czy on rzeczywiście nazywał się Lanz? Powątpiewam. Gdy jednak któregoś dnia przybysz ze śródmieścia zapytał: *Czy tu mieszka stolarz Lanz?* – to prowadzono go od drzwi do drzwi, aż na piąte piętro, tam wreszcie usłyszał: Proszę wejść, panie K. Nie, K. pytał przecież tak: *Wohnt ein Tischler Lanz hier?* I nadal nie wiadomo, czy Lanz był naprawdę stolarzem, a mimo to stał się najsłynniejszym stolarzem XX wieku. Gdzie się podziały meble, które zrobił? Kto je widział? Oprócz Europejczyków jego nazwisko znają także Japończycy, Hindusi, podobno także potomkowie Inków, chyba także tajwańscy Chińczycy. My nie widzieliśmy jego krzesel i szaf. Ale czy stolarz Lanz podziwiał kiedyś traktory „Lanz”? Być może zostały nazwane na jego cześć? A może to jego pseudo pochodzi od marki traktora? Czy orał nim pole pod kartofle? Ja też nie orałem, ale widziałem nieraz, pół wieku temu, dwa „Lanze”, polne, które miały całkowicie metalowe tylne koła: zamiast opon – obręcze z dużymi zębami. Z takimi łopatkami jak młyńskie koła.

(98)

Czyżyki (3)

13. *Dlaczego już nie bywasz? – pyta mnie (wiem: obłudnie) znajomy. – Codziennie jakieś wernisaże, promocje, premiery, tam zawsze winka, wódki, piwka i ładne dupy. To prawda, mówię (również obłudnie), widuję cię co najmniej raz w tygodniu w telewizji. I zamiast powiedzieć wprost, że nie jestem zapraszany, gładzę z poważną miną, że wszędzie za dużo wysokich progów, schodów bez poręczy, za dużo krawężników i dziurawych chodników. (Kup sobie wóz – podpowiada życzliwie.) Autobusy nie lubią na mnie czekać, a tramwaje są zbyt zależne od szyn, natomiast taksówki za drogie. A poza tym: dni tak szybko się kurczą, że ledwo zjem obiad, a tu już wołają na kolację.*

14. *Nie musiałem się wcale zbliżać do tego secesyjnego domu, bo z daleka z drugiej strony ulicy zobaczyłem na drugim piętrze – tuż obok prostokątnej tablicy (czerwone litery na żółtym tle: URZĄDZENIA GRZEWCZE) – duże (nieco koślawe), niebieskie litery na białym płótnie: JEZUS ŻYJE. Nikt nie przystawał, nie żegnał, nie klękał: no tak, idący prawym chodnikiem nie mogli napisu przeczytać. W wieczornym dzienniku telewizyjnym też nic nie mówiono. Po kilku dniach płótno znikło. Zapewne wiadomość okazała się niedokładna, a może spóźniona o prawie dwa tysiąclecia.*

15. *Nigdy nie byłem w Jerozolimie. To dlaczego przyśniła mi się wąska brama z czasów krzyżowców, przez którą bez trudu przechodzi wielbłąd dwugarbny, a ja nawet nago nie mogę się przecisnąć? Wielbłąd odwraca się i rży jak koń, chyba nawet, niezbyt głośno, sylabizuje prześmiewczo po polsku: a wi-dzisz, a wi...*

16. *Całkowicie niezdolny do służby wojskowej – dyktował pan kapitan. Jak to? – oburzyłem się patriotycznie. – I ja mogę się przydać: mógłbym naciskać guziki atomowe, słyszałem, że nie ma chętnych, ręce mam przecież zdrowe.*

17. *Jeżyk i jerzyk nie spotykają się na łące pod lasem: pierwszy nie potrafi latać, drugi – chodzić po ziemi. A czyż nie mógłbym ich zapoznać? Jerzyk mógłby usiąść na moim beżowym berecie, a jeżyk na bucie. Jerzyk jestem, naprawdę, panowie imiennicy. Hm, podobno w dzieciństwie wołano na mnie także Jorgus. Później dowiedziałem się, że pół wieku wcześniej w Buenos Aires podobnie spieszczano pierwsze imię Borgesa, choć po hiszpańsku to trochę inaczej się mówi, zdaje się: Jorgito...*

18. *W latach 70. XIX wieku dziadek mojego ojca przez dziesięć lat podkuwał konie (na poziomach 120 i 277) w kopalni „Hedwig” pod Zabrzem (po wojnie – „Pstrowski”). Dłużej nie wytrzymał: ani jeden koń nie zobaczył więcej słońca, za to miał pod dostatkiem owsa i siana. Prawie pół wieku później, gdy wypił kwaterkę, zwierzał się (nie tylko wnukowi), że wciąż słyszy jak rżą tamte konie, nie, nie rżą, lecz po prostu płaczą. Prawie jak ludzie.*

Dziennik pisany na kolanie (i na kwadratowym stole)

Lądek Zdrój, 11 kwietnia 1998, sobota. Od wczoraj w „Stanisławie”: w tym domu po raz trzeci. Pierwszy raz – w grudniu 1960 r. Na parterze, w pokoju trzyosobowym; okna na północ i wschód – siedząc przy kwadratowym stole, widzę Góry Złote. Budynek po generalnym remoncie: teraz w każdym pokoju łazienka z ubikacją. Łóżko wygodne, ortopedyczne. (...) Już tylko 22 dni... Wczoraj rano u lekarza, który nie znosi żadnych pytań. Niby uprzejmy, a właściwie arogancki, chyba już po siedemdziesiątce. Pacjenci go męczą? Chyba. Gdy mówię, że bardzo mi zależy na masażach podwodnych, zawsze mi pomagały, przerywa i mówi oschle, że oni w zdroju wiedzą dobrze, co mi zaordynować... Z basenu w „Wojciechu” muszę zrezygnować: niby jest winda-klatka, ale nie działa na co dzień, bo podobno remont nie zakończony. A ja uwierzyłem gazetom... I nie dojdę na basen! Oto westybul wyłożono gładkimi (jak na sali balowej u cesarza) granitami i marmurami – zbyt ślisko, zbyt niebezpiecznie. Za to barokowy (z końca XVII w.) „Wojciech” – z zewnątrz, po wieloletnim remoncie, naprawdę wygląda wspaniale, Co za kopia! To chyba miniaturka kopuły bazyliki św. Piotra w Rzymie... Mogę tylko ironizować: co tam kuracjusze, którzy ledwo się poruszają na dwóch (lub czterech) nogach, najważniejsze, żeby posadzka błyszczała. (...) Zamiast ćwiczeń w basenie – będę brał kąpiel perełkową w „Wojciechu II”. Wczoraj od razu półkąpiel wirowa. W „Stanisławie”, w podziemiach. Tam również i masaż podwodny, i suchy, i wirowy, i sala gimnastyczna. Wszystkie kąpiele w wodzie siarczkowo-radonowej. (...) W pokoju także 68-letni rolnik spod Częstochowy i 49-letni wrocławiak (kierowca i biznesmen, przejściowo na rencie). Wszędzie to w górę, to w dół – to dobrze, będę się musiał wysilać naprawdę...

13 IV. Chyba się zaziębilem. Och, tu tylko kilka plusów. Od wczoraj lykam polopirynę i witaminki. Ponuro za oknem, nie wychodzę ze „Stanisława”. Dlaczego „Stanisław”? Obok także – „Józef” i „Urszula”. Teś Stanisław zmarł rok temu, 5 kwietnia. Przeżył 90 lat i kilka miesięcy. Przed wojną piłkarz RKS „Jedność” Stanisławów. Służba wojskowa w VI Pułku Ułanów Kaniowskich. Mistrz murarski. Pamiętał dokładnie, które domy – i w Stanisławowie, i Kamiennej Górze – i on stawiał. Nie, to nie na jego cześć nazwano ten budynek, wybudowany na pocz. XX w. Ani Zakład Przyrodolecznicy „Jerzy” – na moją... Nie wyślę już do niego widokówki. Ani do rodziców (mama zmarła w listopadzie 1995 r., a ojciec – 1997 r.). Brak adresów.

14 IV. Jednak poszedłem wczoraj pod wieczór na spacer: patrzę na północ i nie dowierzam – Góry Złote białe, patrzę na południe – szczytowe zbocza Śnieżnika ośnieżone. (...) Zabrałem się do lektury **Guza w fiołkach** Wacława Grabkowskiego. Polecił mi tę powieść D. Czyta się niezłe, ale to takie granie na jednej nutce. Oto „indiańskie” przygody dziesięciolatka z wrocławskiego przedmieścia (Wilczy Kąt, okolice Krakowskiej). (...) Czytam w przewodniku, że bywali tu – przed laty, przed wiekami – królowie, książęta, hrabiowie, politycy, uczeni i pisarze... Oto przechadzali się w pobliżu „Jerzego” i „Wojciecha”: i król pruski – Fryderyk Wielki, i car rosyjski – Aleksander I, i olimpijczyk von Goethe, i ziemianin Turgieniew. Kogo chciałbym spotkać przy źródle „Chrobry”? Chyba tylko Mefista czekającego na Johanna Wolfganga.

15 IV. Dziś pierwszy masaż podwodny. Niestety, mam tylko 5. A to taki skuteczny zabieg. (...) Śnieg wciąż leży na Śnieżniku. Tak, codziennie widzę stąd Śnieżnik. Gdy zamykam oczy, także Henryka Worcella, patrzącego 50 lat temu, sprzed swego domu w Skrzynce, na

południe: na Łądek, na Masyw Śnieżnika. Czy ktoś go jeszcze w Skrzynce i Trzebieszowicach pamięta? W szkołach średnich nie ma już **Najtrudniejszego języka świata** w lekturach uzupełniających.

17 IV. () Przeczytałem już **Guz w fiolkach**. Chyba to jednak powieść dla dzieci. A zarazem: ciekawy obraz pewnego (całkowicie mi nie znanego) zakątka Wrocławia z połowy I. 60. Muszę się kiedyś wybrać na ul. Wilczą i do parku Wschodniego: prawie 40 lat mieszkam we Wrocławiu, a nie byłem tam ani razu! To jednak zwycięstwo autora, że po lekturze **Guz** chciałbym się tam wybrać, to jest ta „siła fatalna” (chyba D. ma rację, że to zdolny prozaik) () Wyżywienie całkiem smaczne, choć skromne. Koszty surowców wynoszą dziennie 4 zł i 3 gr. Ale są i kuracjusze skierowani przez ZUS (a także pełnopłatni), którzy dostają większe porcje, bo ich stawka wynosi 6,5 zł. A wczoraj na sali gimnastycznej: jedna kuracjuszka (chyba po 40) tłumaczyła drugiej (chyba po 60), że jak napisała Szyborska – nie ma dwóch jednakowych ludzi, tak nie ma dwóch jednakowych chorób, mimo że tak samo się nazywają. Więc i tu o noblistce? To pocieszające. Nie odważyłem się zapytać, czy czyta i innych poetów () Zaciekawilo mnie nietypowe boisko, tuż obok „Stanisława” i „Wojciecha”. Czytam na tablicy, że można urządzać zawody, o których tylko słyszałem: rzut podkówną. Chętnie bym pokibicował, wszak i ja miałem zostać kowalem. Trzeba tak rzucić podkówną, by wpadła na palik: dostanie się 20 punktów. Gdzie te podkowny? Dotąd nikt się nimi nie zainteresował. Może podkowny są ze złota?

20 IV. Pierwszy dzień nieco cieplejszy: od rana słonecznie, choć tylko 10 gradusów () Wczoraj po obiedzie goście z Wrocławia: M. i jej przyjaciółka Z. W sobotę były w Górach Sowich, w niedzielę wypuściły się (francuskim, luksusowym autem) dalej na południe. I ja skorzystałem: pojechaliśmy na Przełęcz Łądecką, aż do granicy czeskiej. Wiało nieprzyjemnie, więc tylko chwilę popatrzyliśmy na Lutymię i Łądek. Potem do Stronia, Nowego Gieraltowa i Bielic. Ze Stronia do Bystrzycy – przez przełęcz Puchaczówka. Piękne okolice: tu chciałbym zamieszkać, ale tylko w lecie... Trochę się bałem, bo Z. lubi przyspieszać (starałem się nie patrzeć na licznik). Ale co zobaczyłem, to moje. () Dziś długi spacer: najpierw w dół do mostu na Białej, potem pod górkę do „Jerzego”, znowu pod górę do Domu Zdrojowego, wreszcie aleją modrzewiową i już „Wojciech”. () Przypomniałem sobie niespodziewane spotkanie z papą, w kwietniu 1970 r. Po kąpeli radonowej w „Jerzym” położyłem się na leżance; po chwili obok kładzie się mężczyzna bardzo podobny do mojego ojca. Może to sobowtór? Mówię tylko dzień dobry, a on odwraca się w lewo i nie może się, jak i ja, nadziwić, że spotykamy się w takim miejscu na sąsiednich leżankach. Kto to zaplanował? Chyba nie panienka z Biura Usług? Dostał skierowanie kilkanaście dni temu, a zapomniał, że napisałem, że wyjeżdżam do Łądka. () Nie narzekam, żyjemy jak w palmiarni, choć regulamin tu surowy, prawie półwojskowy. Ma aż 25 paragrafów. Czytam, że (12) *zabrania się w czasie leczenia samowolnego opuszczania miejscowości*, że (17) *zabrania się (...) wzajemnego odwiedzania się w pokojach* (no, no!), że (19) *w czasie przebywania kuracjusza w pokoju nie wolno zamykać drzwi na klucz*, natomiast (20) *w czasie nieobecności pokój należy zamknąć*.

24 IV. Dopiero dziś – prawdziwie wiosenny dzień. Tak, po kąpielach i masażach (zwłaszcza podwodnych) swobodniej mi się chodzi. () Podziwiam ptaszka, od kilku dni, nie wiem, jak się nazywa, chyba to ciągle inny. Nie większy od wróbla, ale na pewno bardziej zwinnie i skoczny. Kilkukolorowy: podbrzusze ma rudawobrazowe (?), skrzydełka szare z

białym paskiem, na główce również czerwonawy placek. I jakieś kolorowe plamki. Niebieskie chyba. Jak śpiewa? Nie umiem powtórzyć. Cieniutko, melodyjnie. Już kiedyś, kilkanaście lat temu, prawie w tym samym miejscu (obok „Jubilata”), podziwiałem jego pradziadka... Och, takiego mieć w klatce: dbałbym o niego bardziej niż kiedyś o czyżyka. Tylko czy on by chciał? Może pod ochroną? (...)

26 IV. (...) Dzwoniłem do Wrocławia: gość z Kassel przyjechał rano. Teraz M. będzie się przez 10 dni zajmować W., która wyjechała z Polski ponad 20 lat temu. 1 maja to najważniejszy ich dzień: spotkanie absolwentów wrocławskiej polonistyki z 1968 r. w Auli Leopoldyńskiej. Wśród absolwentów '68 jeden z najgłośniejszych Polaków (także – a może przede wszystkim – dzięki telewizyjnym pogadankom) – Jan Miodek. Wiadomo: teraz już profesor. Muszę go kiedyś i ja poprosić o wywiad do *Przecinka* – o przecinku... (...) Wczoraj po raz kolejny poszedłem do Domu Zdrojowego: do kawiarni nie wchodziłem – za wysokie schody. Na drzwiach biblioteki wciąż wisi karteczka: *Z powodu choroby biblioteka nieczynna do odwołania przepraszamy*. Nie chciałem wcale pożyczyć jakiejś książki, chciałem przejrzeć katalogi. Czy są tu jakieś książki Worcella? Wiem: moich na pewno nie ma. W Łądku odpoczywam, tylko jedną przeczytałem, gazet nie kupuję, oglądam jedynie telewizyjne „Wiadomości”. Z musu. Bo co robić po kolacji? (...) W poniedziałek gapilem się na „Miłość na Krymie” Mroźka. Tylko ja... Obsada świetna (Zapasiewicz!), ale sztuka taka sobie. Za dużo słów. I tyle tanich aluzji. Akt III po prostu gazetowy. (...) A tu co? Kapię się codziennie po śniadaniu... W parku widuję już kosy i szpaki. A gdzie słowiki? (...) Ułożyłem sobie w głowie apel do anonimowego turysty pt. „Napij się wody ze źródła”. Gdy będziesz spragniony, idąc w Góry Złote, napij się wody prosto ze źródła, wody ciurkającej z mosiężnego kurka, a poczujesz zapach zgniłych jajek. Nie bój się, to tylko siarkowodor: śmierdzi, ale cię nie odurzy. To inny gaz, wydobywający się także z tego źródła, radon, którego nie poczujesz, bo jest bezwonny, może cię napiętnować. Napij się, jeśli masz już 40 lat i nie jesteś kobietą w ciąży, może ci nie zaszkodzi. Już dzieci wiedzą, że bywają źródła zatrute i że w lasach pełno muchomorów sromotnikowych. Nie, nie musisz nosić w plecaku licznika Geigera: uwierz, to nie radon zabija, bądź na razie rad, że jeszcze żyjesz, może to właśnie ty (tak, tak) już za godzinę znajdziesz żółte ziarenko, albo szlachetny kamyk, który da ci szczęście na kilka sekund. Albo i na kilka minut.

29 IV. Na magnolii pojawił się pierwszy kwiat. I mleczce kwitną. Wiem już: ów malutki ptaszek to zięba. Nie tylko mnie się podoba. Przed śniadaniem u lekarza. Wiedziałem, że zapyta, jak się czuję. Gdy powiedziałem, że nieco lepiej, że jestem zadowolony z kuracji, stał się prawie uprzejmy. (...) Siedzę sobie na ławce pod „Wojciechem”. W oddali – zamglony Śnieżnik. To tylko 30 km na południe od Łądka. Jak się nazywa po czesku? Może po prostu: Sněžnik? A po niemiecku? Wiem: nigdy nie wejść na jego szczyt, choć to tylko 1425 m n.p.m. A zresztą po co? Podobno stamtąd, gdy słoneczna pogoda, widać i Pragę, i Brno. A Wrocław? Chyba tylko Kłodzko. Zamykam oczy: widzę Pražský hrad (flaga opuszczona, więc Prezydent w Karkonoszach?) i Ostrów Tumski (Kardynał je podwieczorek?). Ach, ach, popatrz, popatrz i dziś: Śnieżnik stoi jak wczoraj, więc świat jeszcze istnieje, a ty wciąż jeszcze żyjesz i się spodziewasz. Jak (za Norwidem) pisał Bruno.

2 maja 98. Dziś tylko kapiel perelkowa. Aż żal będzie jutro wyjeżdżać, tak tu teraz zielono i kolorowo (...).

Podróż na Wschód w 1945 roku (spod Gliwic na Ukrainę)

Właściwie to nigdy nie opowiadał szczegółowo (nawet zachęcany) o tej podróży na Wschód: słyszałem jakieś napomknięcia, wtrącenia mamy („jak papa był w internirungu”), porozumiewawcze słówka krewnych podczas uroczystości rodzinnych („jak byliśmy w Rusyi”). A ja nawet nie zauważyłem/nie pamiętałem, że nie było go w domu prawie 8 miesięcy. Gdy odchodził na punkt zborny, miałem 2 lata i 8 miesięcy; gdy wrócił, zapewne go nie poznałem, bo ubranie miał zabrudzone, a ważył tylko 50 kg. Czwierć wieku później znalazłem w kartonowym pudle po margarynie, w którym składano dokumenty i fotografie rodzinne, także zaświadczenie Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Ilawie nr 217493 z 1945 r. ze zdjęciem człowieka przestraszonego. Pod koniec 1970 r., długo przeze mnie namawiany, opowiedział krótko jak to było w obozie pracy pod Kirowogradem, ale dodawał stanowczo: o tym nie pisz, cenzura i tak nie pozwoli. Dopiero w 1988 r. nagrałem na taśmie magnetofonowej dwugodzinną relację (uzupełnioną w 1989 r.). Wówczas jeszcze pamiętał nazwiska współinternowanych, daty, jakieś strzępki rozmów. Kilka lat później pamięć powoli go opuszczała. I gdy rozmawiałem z ojcem ostatni raz, 9 X 1996 r., w dniu jego 89 urodzin, w pewnym momencie zapytał mnie: „A tyś kiedy wrócił z internirungu?”

To tylko wyciąg, na dodatek przetłumaczony z gwary górnośląskiej. Może kiedyś przygotuję wersję oryginalną.

Najdłuższa podróż w życiu

Tak, to była najdłuższa podróż w życiu P.: ani przedtem, ani później nie podróżował dalej niż kilkanaście, kilkadziesiąt, a rzadko dwieście, trzysta kilometrów od rodzinnego domu, ani wcześniej, ani potem nie opuścił rodzinnego Łubia (od XIV w. do połowy 1936 r. to Lubie, do końca stycznia 1945 r. – echt deutsch – Hohenlieben), rodziców, żonę i dzieci na dłużej niż kilka tygodni. Właściwie to w całym życiu nigdy nigdzie nie podróżował: po prostu siedł, jechał rowerem, autobusem albo pociągiem tam, gdzie musiał. Ale czy to były podróże? Na przykład do pobliskich Pyskovic, oddalonych od ojcowskiego domku, zbudowanego z cegiel i kamieni przed I wojną, tylko 4 km, do pobliskich – za laskiem, za górką – Jaśkowic, do Karchowic, Zawady, Kamieńca, Sroczej Góry, Księżego Lasu (z którego pochodził prapradziadek po młotku), do sąsiedniej Kopienicy, która z Łubiem od XIV w. tworzy wspólną parafię rzymskokatolicką pw. NNMP, do powiatowych Gliwic (to tylko 16 km na południe), do nieco dalszych miejscowości górnośląskich, które dziś stanowią dzielnice Zabrze, Rudy i Bytomia, a w których mieszkali jego krewni i powinowaci, a więc do Mikulczyc, Miechowic, Biskupic, Wirka. Oczywiście, siedł także kilkakrotnie z pacją parafialną na Górę Św. Anny (pieszo do Toszka, potem pociągiem do Szymiszowa, potem znowu pieszo). Dwukrotnie przebywał w 1934 r. we Wrocławiu: raz, gdy Kasa Chorych posłała go na komisję lekarską (po wypadku w lutym 1933 r. podczas obsługiwanego lokomobili – w papierach wpisano mu: 50% utraty zdrowia), a drugi raz – na przebadanie, czy przysługuje mu pobyt w sanatorium (tak: pojechał na 14 dni do Głuchołaz, gdzie moczył się w celulozowych wodach z papiermi). Wrocławski dokument uchronił P. od wcielenia do Wehrmachtu; nie musiał się potem usprawiedliwiać, że strzelał do bezbronych (choć i tak w l. 1943-1944 jeździł w niedziele rowerem do Toszka na szkolenie przeciwgazowe, a pod koniec 1944 r. i on musiał brać udział w ćwiczeniach strzeleckich, w ramach Volkssturmu, na nieczynnych wyrobiskach piaskowni Dzierżno). Ale później, w lutym i marcu 1945 r., lekarskie orzeczenie nie zostało uznane przez oficerów Armii Czerwonej i znowu był

całkowicie zdolny do pracy (i w obozie w Łabędach, i po miesiącu – w Kirowogradzkiej oblasti). W 1921 r. rozpoczął naukę kowalstwa pod opieką swego starszaka, Augusta Panka, w majątku von Bergwelta-Baildona, w majątku prawnuka Szkota Johna Baildona: przez trzy lata w każdą niedzielę chodził/jeździł na zajęcia w Izbie Rzemieślniczej w Pyskowicach, odbywające się w szkole sztygarów (herb górniczy wisiał jeszcze w połowie lat 50., choć po wojnie było to już liceum ogólnokształcące, które i mnie przyjęło na cztery lata). W styczniu 1925 r. otrzymał ozdobny dyplom (Lehrbrief) czeladnika kowalskiego, wydany przez zarząd cechu kowali i ślusarzy. A potem codzień, przez 20 lat, z wyjątkiem pobytu w szpitalach (w Pyskowicach i Zabrze) i sanatorium, codziennie wstawał przed szóstą, by o wpół do siódmej być w kuźni (to tylko 300 m): najmłodszy musiał rozpalić ogień. Czyż mógł myśleć o podróżach? Czy miał marki? Kiedyś z kolegą pojechali rowerem na przejście graniczne w Miedarach; to tylko kilkanaście km na północny wschód od Łubia: do źródeł Dramy, już w Polsce, nie dojechali – nie miał paszportu ani przed wojną, ani po wojnie. Nawet do Pyskowic nie lubił chodzić, bo i po co? Z wujkiem Emilem Pankiem podkuwał konie i wyklepywał narzędzia. Kulawy Johann – tak o nim mówiono po 1933 r. po powrocie ze szpitala; w 1945 r. został Janem, nazwiska nikt mu nie musiał zmieniać: wcześniej czasem dopisywano mu drugie t, by wyglądało echt germanisch, choć przecież było prawdziwie staropolskie (o rdzeniu prasłowiańskim, ale P. nic o tym nie wiedział)...

Po 1945 r. P. również nie oddalał się daleko od domu, w którym się urodził (9 X 1907) i w którym zmarł (14 II 1997). Natomiast blisko – codziennie: od kwietnia 1950 r. do listopada 1972 r. dojeżdżał do Łabęd (od 1964 r. to dzielnica Gliwic) przewozem pracowniczym do Zakładów Mechanicznych im. Józefa Stalina (od 1956 r. – „Łabędy”). Ot, był anonimowym ślusarzem w dziale utrzymania ruchu (to jego drugi syn pracował w montowni czołgów). Musiał wstawać po czwartej, by nie spóźnić się na autobus, a wracał przed trzecią. Nigdzie nie wyjeżdżał? Owszem, pojechał do sanatorium do Jastrzębia Zdroju (wciąż bolały go połamane przed wojną nogi, a pod Kirowogradem nabawił się reumatyzmu), później także do Łądka. Kilkanaście razy podróżował do Wrocławia, do syna, a raz nawet na początku lat 90. był kilkanaście godzin w Warszawie (na badaniach lekarskich w prywatnej klinice). Tak, ani wcześniej, ani późniejsze podróże nie przypominały tej najdłuższej w 1945 r. Czy w ogóle można ją nazwać podróżą? Ani w 1945 r., ani później, nie miał ochoty podróżować. Nawet do Gliwic, gdy był już na emeryturze, wybierał się niechętnie, mimo że zamieszkali tam dwaj synowie i córka, a co dopiero dalej. Czyż nie mówił mu ojciec: szkoda zelówek? Czy nie lepiej posiedzieć na ławce pod domem i odpocząć? I zaśpiewać wieczorem „Kiedy ranne wstają zorze”? Całe życie czuł się chyba zmęczony, ale zapewne siedzenie na tapczanie, gdy po ponad 50 latach pracy został emerytem, męczyło go bardziej niż codzienne nieustanne cośrobienie.

Rukzak, manierka, garnuszek, łyżka i inne rzeczy

W mroźny poniedziałek, 23 stycznia 1945 r., oddziały I Frontu Ukraińskiego Armii Czerwonej spod Częstochowy skierowały się na południe, m.in. szosą Lubliniec-Tworóg-Gliwice. Kilkanaście kilometrów za Lubliniec przekroczyły przedwojenną granicę polsko-niemiecką – zaczynał się Kreis Tost-Gleitwitz. Pod wieczór wojsko zajęło majątki Ober- i Nieder-Hohenlieben. P. nazajutrz nie poszedł do kuźni, ale już wieczorem zaświadomiono go, by rano przyszedł do pracy. I tu dopiero zaczyna się właściwe sprawozdanie. Do Berlina spod Gliwic wciąż było prawie 500 km, a żołnierze byli głodni, konie traciły podkowy. Z wujkiem Emilem podkuwał konie od rana do wieczora, naprawiał maszyny rolnicze (w dwóch stodołach polnych pozostały

nie wymłócone żyto i pszenica). Komendantem majątku został lejtnant Armii Czerwonej, natomiast soltysem Łubia Dolnego – Broda-Szczurek, powstaniec śląski z 1921 r.; szosą i polami wciąż przechodziły wojska – spod Bytomia do Toszka, Opola, Wrocławia. Na początku lutego pojawiły się afisze (czarne litery na czerwonym papierze) w dwóch językach: niemieckim i rosyjskim, m.in. obok sklepu-piekarni Owczorki, że wszyscy mężczyźni, mający obywatelstwo niemieckie, w wieku od 18 do 50, powinni się na 14 dni zgłosić do pracy poza linią frontu. Powini zabrać dokumenty osobiste, dodatkową odzież, koc, żywność. I zgłosić się na punkcie zbornym w Pyskowicach. Kto się nie zgłosi, będzie podlegał prawu wojennemu, łącznie z karą śmierci. P. dowiedział się o ogłoszeniu 7 lutego, nie pamięta już którego dnia trzeba było się zgłosić, ale chyba kilka dni później. Lejtnant zapewniał P., że po rejestracji na pewno zostanie zwolniony, jest niezbędny w majątku, a po drugie ma zaświadczenia lekarskie, pośle z nim dwóch żołnierzy, oni wytłumaczą komu trzeba. Ale P. (i inni mężczyźni) od razu zaczął się przygotowywać. Z majątku przyniósł brezentowy materiał (to była plandeka od bindra – pamięta jego najstarszy syn), z którego żona uszyła plecak. Tak (już wkrótce się okazało), ruzsak był najważniejszy; miał też małą torbę skórzaną, w której nosił przez wiele lat do pracy chleb i butelkę z kawą zbożową. Zabrał dodatkowe kalesony, koszulę, grube rękawiczki welmiane, czapkę z nausznikami, a przede wszystkim nie zapomniał o manierce, łyżce, nożu składanym i o czerwonym, emaliowanym garnuszku (3/4 litra). I jeszcze o innych drobnostkach.

W Pyskowicach wszystkich zgłaszających się mężczyzn wpisano do grubej księgi; przesiedzieli 2 dni w restauracji, która później nazywała się „Łowiecka”. Potem pieszo, już pod strażą, szli główną szosą do Gliwic (to tylko 12 km), niektórzy wyrzucali kartki z krótkimi zdaniem, dokąd idą. W Gliwicach nie było dla nich (chyba dla ok. 100 osób) miejsca w koszarach, popędzono ich, już bocznymi ulicami i drogami, do Łabęd. Gdy czekali przed mostem i służy na Kanale (wówczas to jeszcze Adolf-Hitler-Kanal, a już wkrótce – Gliwicki), była ostatnia okazja, by uciec; kilku skorzystało z nieuwagi żołnierzy, a potem czerwonoarmieci zatrzymali przypadkowych przechodniów: spis musiał się zgadzać. W Łabędach umieszczono ich w domach pod lasem, w pobliżu dworca kolejowego: kilkadziesiąt budynków było otoczonych drutem kolczastym. Tam przebywali, chyba kilkanaście dni, w domach, w których jeszcze niedawno ktoś mieszkał: każdy brał z szaf, kredensów, co chciał; P. usłuchał tych, co mówili, żeby brać nici (i potem przydały się najbardziej). Obozem zarządzała „zielona policja” (tak umundurowanych wojskowych nazywał po latach P.). Wszyscy zostali przesłuchani (i opisani) bardzo dokładnie. Czy był w partii hitlerowskiej? W komunistycznej? W Wehrmachcie? W SS? W SA? Na te wszystkie pytania P. miał krótką odpowiedź: nein. Pytał oficer po rosyjsku, tłumacz przekładał na niemiecki, ktoś trzeci zapisywał. Co robili rodzice? Jaki ma zawód? I wiele jeszcze pytań. Czy wie, kto należał do NSDAP? P. nie znał nikogo takiego wśród zatrzymanych. Ktoś mu radził, żeby podał, że pracował w piaskowni (weźmie go do swojej brygady), ale P. posłuchał wujka Emila: miał przecież papiery, że cały czas pracował w majątku ziemskim, że jest kowalem i rolnikiem. Do obozu przychodziły żony zatrzymanych, żeby się dowiedzieć, gdzie skierowano mężów do pracy. Raz przyszła do P. żona (z obiadem i kawą): „widziała bez okno kaj jo siedziol”. Strażnicy nie pozwalali nikomu zbliżyć się do drutów, strzelali nie na żarty („kiedyś zastrzelili baba, potem baby sie boły przyjsć”). P. miał 37 lat i 4 miesiące: ożenił się w 1936 r., w domu – żona i 4 synów. Dokumentów lekarskich chyba nawet nie czytano, trzymał je w swojej torbie. Tych, co służyli w Wehrmachcie, wywożono do innych obozów, także partyjnych i SS-manów. Jedyne ci, co wyjawiali, że należeli do KPD, awansowali: zostawali tzw. starszymi, mającymi pod opieką kilkadziesiąciu innych zatrzymanych. Ktoś tam rozgłaszał, że pojedą porządkować zniszczone fabryki chemiczne w Kędzierzynie.

Pociągiem towarowym do Kirowogradzkiej oblasti

Na początku marca P. pomaszzerował (wraz z ok. 200 mężczyznami) z obozu labędzkiego na dworzec kolejowy w Pyskowicach. Wagony towarowe, zadaszzone, stały na torze bytomskim. Na szerokim torze, który wówczas tu się kończył, a zaczynał we Władywostoku (dowiedział się po latach P.). W wagonie był piecyk żelazny, popularny na Górnym Śląsku żeleźniok. Mieli węgiel, kocioł, wodę i trochę żywności. Gdzie więc jadać? Po kilku godzinach ktoś zauważył, że przejeżdżają przez Kraków (odczytał nazwę stacji przez wyskrobaną nożem dziurkę – jeszcze mieli noże, odebrano je im dopiero na stacji kolejowej na miejscu): „to myśmy się wszyscy przestraszyli”. To jadać na Sybir? Pociąg zatrzymał się dopiero we Lwowie, tam na bocznicę stał kilka dni. Najpierw mogli wychodzić po wodę, nawet kilka razy rozmawiali po polsku z kolejarzami. P. zapamiętał krótką rozmowę: „Coście za jedni?” „Polacy”. „Polaków nie wywożą. To wyście są partyzanty”. „Jakie partyzanty? Samiśmy się zgłosili, było wezwanie”. „Wy będziecie mieli gorzej jak wojsko”. I P. dodaje: sprawdziło się, jeńcy wojskowi pracowali 8 godzin, a my codziennie 9. Gdy brakło węgla, to palili w żeleźnioku drewnem. Przejechali przez Kijów, nie wiedzieli, czy jadać wciąż na wschód, czy na południe; potem 4 dni stali przed mostem na Dnieprze, a Dniepr szeroki był na kilka kilometrów. (Sprawdziłem na mapie: stali przed dnierprzańskim mostem na Jeziorze Krzemieńczuckim, to trasa kolejowa z Kijowa – przez Czerkasy – do Odessy.) Pociąg powolutku – tup-tup, tup-tup, tup-tup, naśladuje tamten rytm P. – przejeżdża na prawy brzeg Dniepru. Ale oni o tym nie wiedzą, że to prawy.

Malaja Wiska (Malowiska?)

Na miejscu byli wieczorem, po 15 dniach podróży: wtedy jeszcze wiedzieli, który to dzień i miesiąc. Na mapach ZSSR znajduje się miejscowość Malaja Wiska w Obwodzie Kirowogradzkim. Ale po latach P. wymawiał tak: Malowiska, odmieniał w liczbie mnogiej: w Malowiskach. Chyba to jednak Malaja Wiska (tak po rosyjsku – a po ukraińsku?). Wówczas miasto większe od Pyskowiec: tam duża cukrownia, 2 małe rafinerie ropy, śrutownia, zakład uzdatniania wody, młeczarnia. Na dworcu niektóre taszczone w plecakach rzeczy kazano im wrzucać na ziemię, m.in. konewki i bańki, także garnuszki (ale P. po kilku minutach podniósł swój czerwony – „nikt nie zauważył”, cieszy się jeszcze teraz).



Z dworca szli do obozu pół godziny. Zostali zakwaterowani w 3 budynkach, stajniach końskich (na podwórzu biegały jeszcze źrebęta). Ściany były pobielone wapnem, spali na deskach na ziemi („jeden obok drugiego jak śledzie”), przykrywali się kocami, płaszczami, co kto miał z sobą. Potem zrobiono także piętrowe leża: tam wyżej było P. znacznie lepiej. Przez pierwszy dzień siedzieli zamknięci, nie dostali też nic do jedzenia. Ilu ich tam było? Około 600. Potem zostali zaszczepieni – i to kilka razy. Co P. dziwiło jeszcze po czterdziestu paru latach? Używano igieł jednorazowych (pod koniec szczepienia była „cało holda igieł”). I przebadani przez dwóch lekarzy. P. został uznany, mimo okazywanych dokumentów lekarskich i innych papierów (oddano mu je wszystkie, gdy odjeżdżał do domu), za zdolnego do pracy. Podzielono ich na grupy wg zawodów, przepytano, choć już nie tak dociekliwie jak w Łabędach. Pytano P., gdzie ojciec pracował. Murarz, zmarł w 1941 r. Ile miał pieniędzy w kasie oszczędności? Nic. Jakie ma obywatelstwo? Wiadomo: Rzeszy Niemieckiej. To wiemy, ale do jakiej narodowości się przyznaje? P. i inni zorientowali się, że to nie są takie sobie pytania. Jak w domu mówiono? Przeważnie po polsku. A poza domem? I po polsku, i po niemiecku. Kiedyś jeden z przepytujących kazał P. powiedzieć po polsku „Ojciec nasz” i „Zdrowaś Maryjo”. „Porzykolech jak w kościele” – przypomina sobie P. Od wszystkich pobrano odciski palców (aż trzy). Obozu pilnowali wojskowi z pistoletami, były trzy wieże strażnicze, ale tylko do końca wojny. Do pracy grupę prowadzili uzbrojeni mundurowi, po 11 maja – tylko „chop z kryką”. Bo dokąd by uciekli? Czy ktoś by się odważył? P. na pewno nie. W budynkach-stajniach były kotły: gotowano w nich zupę. Po tygodniu wszyscy mieli już przydział do pracy: każdy internowany miał swoją blaszkę z nrem, przyczepioną do ubrania drucikami. P. trafił do grupy kowali i ślusarzy. P. zapamiętał dzień 19 marca 1945 r.: tego dnia po raz pierwszy poszedł do pracy na ranną zmianę, do spirytusowni. Po kilkunastu dniach przeniesiono go na nocną (od trzeciej do północy), do warsztatów w cukrowni (czasem i w innych miejscach). Wykuwał narzędzia, części do maszyn, remontował maszyny i kotły. W obozie kilkunastu znajomych z Lubia: m.in. wujek Emil Panek, Walenty Szczurek (brat Brody-Szczurka) – powstaniec z 1921 r., Gwóźdź, Giese, Pruske, Kranz, Kamieniorz.

Nie, nie byli bici, ani specjalnie poniewierani. W maju P. zachorował: dostał wysokiej gorączki, lekarz dał mu jeden dzień zwolnienia; a potem przez dwa dni nic nie robił: brygadziśta pozwolił mu przeleżeć całą dniówkę obok maszyny w ciepłej hali. Dobrze go pamięta, to inżynier, Ukrainiec, niekiedy wykuwał mu jakieś pręty, prostował rurki, złego słowa nie może o nim powiedzieć. Tylko jedzenie było bardzo kiepskie. Rano dostawali zupę i gielnik chleba (100 g), a jak się wojna skończyła, to drugi raz o pierwszej talerz zupy i kromki. Gdy pracowali w niedzielę (a pracowali „prawie we wszystkie”), to dostawali w stołówce dodatkowo talerz kaszy. Raz nawet (nie pamięta, czy w czerwcu, czy w lipcu) wypłacono niektórym pobory; P. dostał 800 rubli. Na bazarze oficer polityczny kupował im chleb („trzeba mu było dać za drogę”). P. pamięta, że chleb kosztował 40 rubli, a kostka masła 25. Gdy wyjeżdżali do domu, to na drogę kupił sobie chleb i kilo masła, a po 50 rubli dał wujkowi Emilowi i Kamieniorzowi, którzy nie dostali za pracę w obozie ani kopiejki.

Niech żyje nasz dobry ojciec Józef Stalin

Do pracy wychodzili z obozu grupami. P. był w dziewięciosobowej. Kilka razy mogli pójść do pobliskiego lasu – m.in. zbierali chrust na miotły. Kiedyś mocno się przestraszyli, bo nagle usłyszeli strzały, wybuchy, już się ściemniało, na niebie kolorowe błyski. Położyli się na ziemi i czekali aż się skończy strzelanina, ale ktoś z miejscowych ze śmiechem powiedział im,

ze strzelają na wiwat, bo wojna się skończyła. A potem w obozie jeden z mundurowych powiedział: „Adolf się zastrzelił”. Nie Hitler, tylko Adolf. Przez trzy dni i oni świętowali: nie szli do pracy, dostali dodatkowe porcje chleba (1 bochenek na 8 mężczyzn – to też P. zapamiętał). Na szczytowej ścianie malarze napisali po niemiecku czerwoną farbą: **Niech żyje nasz do-bry ojciec Józef Stalin**. Wymalowali także śląską granicę, ale taką jak przed wojną: po prawej Katowice, a po lewej Bytom, Zabrze i Gliwice. Major, trochę podпиты, kazał im śpiewać niemieckie piosenki. Niektórzy śpiewali „Już przyszedł maj”, ta najbardziej się majorowi podobała. P. śpiewał z innymi po polsku (nie pamiętał dobrze słów, ale szybko się nauczył): „Szła dziewczeczka do laseczka” i „Szli powstańcy w bój”. Wiedział już i P., że lepiej być w obozie Polackiem niż Giermańcem; Polaczki, szeptano, pojedą wkrótce do domu. Jednak majorowi bardziej podobało się śpiewanie po niemiecku, ale go nie słuchali, tylko śpiewali po polsku. Każdy jak umiał. Czy w tej ciszy wieczornej usłyszano ich na Górnym Śląsku? Nie, nikt.

I P. zapisuje się do Związku Antyfaszystowskiego, pisze listy do żony

Nic nie wiedzieli, co się dzieje poza obozem. W hali był głośnik, ale wszystko nadawano po rosyjsku. Kiedyś P. znalazł kawałek gazety polskiej, wydawanej – jak mówiono – przez ambasadę polską w Moskwie, raz – *Neues Deutschland*, ale komendant zabronił czytania gazet, potem już nie przychodziła ani niemiecka, ani polska. W obozie był też przedwojenny redaktor gliwickiej gazety, on to chyba – jak przypuszczał P. – namówił oficera politycznego, by internowani wstąpili do Związku Antyfaszystowskiego. Szeptano, że to może przyspieszyć zwolnienie. Było to jeszcze w kwietniu: w niedzielę odbyło się zebranie, oficer przyniósł gruby zeszyt, na okładce którego dużymi literami wypisano: Antifaschistischer Bund. Oficer zachęcał, by się wpisywali. Wszyscy z grupy, ok. 30 osób (z wyjątkiem jednego z Łabęd) wpisali się bez ociągania.

W obozie była czerwona skrzynka pocztowa. Zachęcano ich, żeby pisali listy do domu. P. napisał 3 listy (ostatni chyba w lipcu), ale ani jeden do żony nie dotarł. Najpierw napisał po niemiecku („Ich lebe, ich bin gesund”), ale inni mu poradzili, żeby lepiej po polsku. Tak, mówił po śląsku, ale po polsku nie uczył się pisać, chodził tylko do szkoły niemieckiej, inni mu pomogli. Napisał tak: „Kochana żono Rózo! Ja żyję, jestem zdrowy, pracuję, czuję się dobrze, a życzę wam tego samego”.

Skoro damoj, damoj

Kiedyś w lipcu szli do pracy, minął ich wojskowy samochód z wesołymi wojakami: krzyczeli, że jadą bić Japończyków. Pytali, czy oni Giermańcy, czy Polaczki. Polaczki, wykrzyknął któryś. Jak Polaczki, to skoro damoj, damoj! Oni się tylko roześmiali, bo co oni tam, przejeżdżający przypadkowo drogą, mogą wiedzieć. Właściwie to nie wiedzieli, czy to jeszcze lipiec, czy już sierpień, wiedzieli tylko który to dzień tygodnia. Poza obozem koszone już jęczmień i żyto. A tu nagle wszyscy gadają, że pojedą do domu. Ci, co znaleźli się na liście, zostali przebadani przez dwóch lekarzy-emerytów (z Moskwy oni – mówiono). Kto chory, zostawał aż do wyzdrowienia. Potem na apelu, gdy wyczytywano nazwisko i imię zwalnianego, trzeba było szybko podać imię ojca. Kto nie zdążył, albo się zamyślił, musiał opuścić grupę. P. tak był przejęty, że bał się, że i on nie odpowie natychmiast – syn Piotra: „jo sie zabamaćił, potem mi sie wspomniało” (jeszcze po latach jest z tej chwili dumny). Żegnała ich na placu kapela. Na dworzec szli pieszo, a ich rzeczy wiozły dwa samochody. Na dworcu czekali tydzień na pociąg

z Odessy: siedzieli w zadaszonych wagonach towarowych, które nie miały bocznych ścian. Na drogę dostali kilka słonych śledzi. P. miał także chleb i masło. Wody nikt im nie wydzielał. I nikt ich już nie pilnował. Dlaczego mieliby uciekać, wszak jadą do domu?

Z Krakowa do Prus Wschodnich

Pociągami z Odessy przyjechali także kontuzjowani żołnierze Wehrmachtu, których zwolniono do domu. W osobnym wagonie siedzieli poznaniacy, którzy do lewej kieszonki niemieckiego munduru mieli przypięte biało-czerwone wstążki. Po kilku godzinach zatrzymali się na dużym dworcu, kazano im wysiadać. Więc wcale nie do domu? Zaprowadzono ich do łaźni parowej, ubranie zabrano na kilka godzin – nazywało się to odzwawianie. Potem jechali kilka dni bez przerwy – aż do Krakowa. P. (jak i inni wracający z Ukrainy) był właściwie wolny, ale starsi zabronili im opuszczać wagon, a po drugie – nie mieli dokumentów, ani pieniędzy na bilet. Ale i tak – wspomina P.

– ponad 100 mężczyzn uciekło. P. nadal słuchał starszego Bednorza. Doczepiono ich wagon do innego składu: jeszcze nie wiedzieli, że zostali po raz drugi internowani, tym razem przez polskie organa (P. nigdy się nie dowiedział, czy bezpieczeństwa, czy cywilne). To przecież zburzona Warszawa, mówili niektórzy, gdy przejeżdżali przez Wisłę po drewnianym moście.

Dokąd jada? Znowu do Rusyi? Po wielu godzinach ktoś odczytuje, że przejeżdżają przez Wilno, potem ktoś krzyczy: Kaunas. Dowiadują się, że jadą do Prus Wschodnich. (Czy to w ogóle możliwe, że jechali tak okężną trasą, a nie przez Olsztyn?) Wychodzą z wagonu i widzą niemiecką nazwę stacji: Preussisch Eylau. Idą kilkanaście kilometrów, po drodze mijają drogowskaz: Königsberg 23 km. Gdzieś tam siedzą w domach kilka dni, potem wyruszają pieszo na południe, ktoś mówi: do Polski. W Poczdamie wytyczono już nowe granice (o Poczdamie i grani-

RZECZPOSPOLITA POLSKA
Ministerstwo Administracji
Państwowy Urząd Repatriacyjny
Punkt Przyjęcia
Stawon

Wzrost 1,70
Data urodzenia 16 do 27

Zaświadczenie Nr. 217493

Zaświadczam, że ob. Pluta Jan. r. Piotrek
2. X. 1907. Lubie. pow. Skwiderski. Slegle
(zob. Umiejscowienie)

przyszedł do Polski z terytorium Z. B. R. B.

i dnia 10 sierpnia 1945 r. zarejestrował się na Punkcie
Przyjęcia w Stawon

Obecnie udaje się do Pyrkowiec
(dokładny adres)

Na podstawie zarządzenia Rady Ministrów z dnia
ob. Pluta Jan. na pierwszeństwo i prawo
jednоразowego bezpłatnego przejazdu wszelkimi środkami lokomocji do
Pyrkowiec. pow. Skwiderski.

Władze państwowe i Samorządowe są proszone o udzielenie jakiegokolwiek
idącemu pomocy okazicielowi niniejszego.

UWAGA:
1. Okaziciel niniejszego zaświadczenia obowiązany jest zameldować się w Miejsce Obywatelskiej w terminie do 14 dni od daty wytworzenia zaświadczenia i do 3 dni po przybyciu na miejsce zamieszkania. Po upływie terminu ważności, zaświadczenie winno być wymienione w miejscu stałego pobytu – na dowód tożsamości.

Kierownik Punktu Przyjęcia
Stawon

wyrazu 2198

Ważne do dnia 30 45

320 008 - 11 43 - Druk. Min. Bosp. Publ. - Łódź

cach nie nie wiedzą): Ilawa Pruska będzie w Związku Radzieckim. Jadą pociągiem kilkanaście godzin, wysiadają na stacji Ilawa. Potem przez 7 tygodni pracują przy żniwach: jedni koszą, inni młocą, jeszcze inni (jak P.) naprawiają żniwiarki i młockarnie. Najpierw mieszkają w wojskowych namiotach, potem w opuszczonych domach, a gdy przybywają osadnicy (i im proponują jacyś urzędnicy, by zostali: dostaną domy i ziemię) – w pustych, czystych kurnikach, starannie wybielonych wapnem. Już nie głodują: mają kartofle, żyto, kiszą żur, uruchamiają śrutowniki, mają więc grubą mąkę i sami pieką chleb. Gdy wyjeżdżają do domu, P. dostaje dwa bochenki: jeden przywiózł do domu. Być może i ja zjadłem 8 października 1945 r. kromkę podilawskiego chleba z masłem podgliwickim. Pod Ilawą pilnują ich jacyś mundurowi i cywilni, P. do dziś nie wie, czy to byli wojskowi, czy policjanci, potem za kierownika uważa się nauczyciel z Warszawy, wymachujący często pistoletem (to on bardziej pokrzykuje, popędza, czasem wyzywa, niż ci pod Kirowogradem).

Na początku października 1945 r. przyjeżdża z Ilawy fotograf: wszystkim po kolei robi zdjęcia legitymacyjne. Po kilku dniach dostają zaświadczenia ze zdjęciem: P. czyta, że przybył z ZSSR i 10 sierpnia zarejestrował się w Punkcie Przyjęcia Państwowego Urzędu Repatriacyjnego Rzeczypospolitej Polskiej w Ilawie, że zaświadczenie upoważnia do „jednorazowego bezpłatnego przejazdu wszelkimi środkami lokomocji” do miejsca zamieszkania. Jadą pociągiem do Poznania; Bednorz wciąż z nimi. W Poznaniu w nocy czekają na pociąg do Katowic, drze mią na schodach przed dworcem. W Katowicach każdy idzie w swoją stronę. P. jedzie do Gliwic, nie widzi już Bednorza („nogle sie stracił”). W Gliwicach przed dworcem P. spotyka znajomego z Lubia, który został w urzędzie gminnym gońcem: rowerem wraca wcześniej i zawiadomi żonę. Coraz bliżej: P. jedzie pociągiem do Pyskowic – z dworca do domu tylko 6 km. Na skrzyżowaniu ulic, obok szkoły górniczej, żegna się z ostatnim współinternowanym, masarzem Maśnicą: tamten idzie prosto na wschód, do Zawady, P. w lewo na północ, teraz do domu tylko 4 km.

Po trzech kilometrach, tuż obok ceglanego transformatora (w lewo droga na Sroczą Górę, a w prawo najkrócej do majątku) spotkał żonę: wiedziała, że wraca. Teraz ona zarzuciła na plecy ruzak, prawie go nie poznała: taki wychudzony, przestraszony, nieogolony. Ale to nic, najważniejsze, że w przeddzień swoich 38 urodzin znowu był w domu, po prawie 240 dniach „dwutygodniowych robót poza frontem”. I tak mu się udało: inni wrócili później, niekiedy po kilku latach, a niektórzy nie mogą dojechać do dziś.

Dopisek optymistyczny

PUR-owskie zaświadczenie przydało się P. później kilka razy; to był jedyny dokument potwierdzający, że (jak czasem żartobliwie opowiadał) też w 1945 r. był repatriantem. Gdy w 1972 r. składał wniosek o emeryturę, brakło mu do tzw. ciągłości pracy sporo miesięcy 1945 r. Urzędniczka w „Bumarze-Labędach” nie chciała uznać ilawskiego papierka, poprosiła więc o rozstrzygnięcie wątpliwości sekretarza Komitetu Zakładowego PZPR. Sekretarz (P. zwracał się do niego jak inni niepartyjni: panie towarzyszu sekretarzu) zapytał uprzejmie, czy był w ZSRR w niewoli, czy też zgłosił się do pracy dobrowolnie. Dobrowolnie na rozkaz, powiedział zgodnie z prawdą P. I dodał, że raz nawet dostał wypłatę, 800 rubli. Uznać, orzekł stanowczo sekretarz. I potem ZUS w Zabrze też uznał.

Podróżować palcem po mapie

Czasem dostaję i ja kwestionariusze, w których także pytania o hobby. Hm, hobby... Co by to mogło być? W **Kto jest kim w Polsce** (1993) czytam o hobby Henryka Berezy: *praktykowanie licznych dziwactw, zapisywanie i publikowanie snów*. To rozumiem! Ale jakie to dziwactwa? I to jeszcze liczne... No tak, wędkarzem nie jestem, po górach nie chodzę, nie zbieram porcelany miśnieńskiej, olówki wciąż temperuję i zostają kikutki, za to... Właśnie: zbieram mapy i plany miast. Przede wszystkim tych krain i miast, które znam choćby przelotnie. W **Encyklopedii osobistej** wszystkie te krainy i miasta opiszę kiedyś dokładnie. I gdy czytałem **Oniriadę** Berezy, żalowałem, że nie mam pod ręką planu Skierniewic, a jedynie kilka map okolic. Teraz wiem, dokąd płynie Rąwka, jak daleko ze Skierniewic do Bolimowa. Kiedyś chciałem zostać geodetą (gdy przeczytałem **Zamek** Kafki, to mi przeszło), potem kartografem, a zostałem miłośnikiem map. Nie, nie jestem kolekcjonerem: nie mam ani jednego cacka, jedynie kilka map przedwojennych, kilkadziesiąt reprintów i chyba 300 powojennych. I kilkanaście zagranicznych. Nie będę ukrywał, że nie lubię map krain, w których nie byłem nawet przejazdem. Wówczas patrzę na takie kolorowe druki (czy to w ogóle mapy?) i nic właściwie nie widzę. Tak, to rzeka, to jezioro, tu góry, a tam most, tu droga krajowa. Jakies kreski, plamki, linie. To książki w obcym języku: znam litery, a nie rozumiem zdań.

Wiem, wiem: chyba urodziłem się podróżnikiem. Gdy byłem mały, mówiłem sobie, że gdy tylko dorosnę, gdy otrzymam dowód osobisty, wyruszę w świat: gdzieś daleko poza powiat, województwo... Pociągiem, autobusem, pieszo. Nie pytałem siebie: a po co? Zazwyczaj podróżuje się w konkretnym celu: do stolicy, do Rzymu, nad morze, do wujka. Ale można też bez przymusu podróżować bez celu (kto czytał **Podróż bez celu** Skarbka?). Czyż

nasi praindoeuropejscy przodkowie nie wędrowali wciąż i wciąż? Nie przywiązywali się zanedo do rzek, krain i polan śródleśnych. Oni wędrowali, bo musieli; jednak takie wędrowki nie były wcale podróżami. W I połowie XX w. najwięcej chyba było podróżników przymusowych, natomiast w II połowie – przede wszystkim turystów. Czy jednak turysta ma coś wspólnego z podróżnikiem? Chyba niewiele.

W powieści Ernesta Dyczka **Autosja** postacie wykonują dożywotnio przydzielone im przez Władzę zawody. Pojawia się też turysta, który musi zwiedzać, jest też pijak, który musi codziennie wypijać tyle a tyle alkoholu. Współczesny turysta obywatel się bez map szczegółowych, często nawet – bez map, wystarczy mu przewodnik (żywy lub drukowany), który powie kilka zdań: to katedra z XIV w., to balkon pod którym... Podróżnik natomiast bez map w ogóle nie wychodzi z domu, nawet bez tych najbardziej schematycznych. Nie, nie mam nic przeciwko turystom, też czasem nim bywam: jeśli nie można być podróżnikiem, trzeba się zadowolić statusem turysty, oczywiście. Gdy brakowało kawy prawdziwej, piliśmy – zbożową, często bez cykorii... Turysta jedzie i wie dokąd i kiedy wróci, co zobaczy; podróżnik nigdy nie wie, czy wróci, czy powinien wrócić, wszak są także drogi jednokierunkowe. Co za naiwność! Okazało się, nim jeszcze dostałem dowód osobisty i paszport, że podróżnikiem nigdy nie będę; zostałem skreślony z listy, jak w **Autosji** – przypisano mi (zaocznie, bo nie zobaczyłem wysokiego trybunału) status przymusowego domatora. Mój ostry sprzeciw w ogóle nie został przyjęty, podobno list nieprawidłowo zaadresowałem.

Wiem, wiem: czytanie map to pewnego rodzaju podróżowanie na niby. Powstał nawet ironiczny zwrot: podróżować palcem po mapie. O takich podróżach pisano nieraz, ale mnie takie lektury (czy też planowanie podróży) wcale nie pociągają. Czytanie map, nawet tych

najbardziej dokładnych, nigdy nie zastąpi prawdziwych podróży, wręcz przeciwnie: może powodować niekiedy napady melancholii. Coś o tym wiem – i czasami mam ochotę wyrzucić wszystkie mapy na śmietnik, lecz zarazem wiem, że nigdy się nie odważę. Mam tylko niekiedy żal do kartografów, że moje mapy niezbyt szczegółowe... Wiem, że są takie mapy, na których zaznaczono każdy dom, każdą dróżkę, każdą przydrożną kapliczkę, każdy mostek drewniany. Są, są: w sejfach sztabu generalnego, w gabinetach kartograficznych wielkich bibliotek. Ja natomiast zadowolilibym się mapami w skali 1:10000; i takich map i planów mam niewiele. Jeszcze gorzej: jedynie siedem.

... „*Kamień w pieluszkach*” nie znajduje, według nas, drogi do serc i umysłów czytelników...

Dowiedziałem się, że po publikacji w *Przecinku* (z. 4) wiersza Leopolda Buczkowskiego i fragmentów listu jego syna, kilku młodych polonistów zainteresowało się nie drukowanymi wierszami z lat przedwojennych. Przypuszczam, że większy zestaw wierszy Buczkowskiego ukaże się w czasopiśmie, a może i w oddzielnej książce. Oczywiście, wszystkie zachowane teksty autora **Wertepów** należy jak najszybciej opublikować, łącznie z juveniliami, nawet jeśli są to wersje zaniechane, albo też takie, o których pisarz zapomniał, albo nigdy nie proponował do druku.

Przeczytałem też zapowiedź, że w książce ukażą się wreszcie zapiski wojenne Buczkowskiego (dotąd drukowane jedynie w *Regionach i Ex Librisie*), opatrzone obszernymi komentarzami. Wspomnę również o rozprawce Mirosława Lesyszaka o **Oficerze na niesporach** (Powieść „punktualistyczna”, *Twórczość* 1997, nr 10).

Interesujące materiały dotyczące Leopolda Buczkowskiego ukazały się w *Kresach* (1997, nr 32). Oto Zygmunt Trziszka podał do druku nieznanne fragmenty wypowiedzi Buczkowskiego. Mam nadzieję, że Trziszka przygotowuje do druku trzeci tom (po **Prozie żywej i Żywych dialogach**) opowieści Buczkowskiego. Podobno ma jeszcze ponad 20 taśm z nagraniami... Czy znajdzie się wydawca? Natomiast w tymże nrze *Kresów* Sławomir Buryła rozmawia z Trziszką o dzienniku Buczkowskiego. Tenże Buryła omawia **Pamiętnik z powstania warszawskiego** Białoszewskiego i **Powstanie na Żoliborzu** Buczkowskiego. Prawdziwym arcydziełem literatury urzędniczej okresu PRL-u jest przytoczona przez Buczkowskiego opinia wewnętrzna Wydawnictwa Literackiego o **Kamieniu w pieluszkach** (tytuł tej noty jest jej fragmentem). A może warto by wydać antologię tzw. wydawniczych recenzji wewnętrznych sprzed 1989 r.? Byłaby to bardzo ciekawa książka!

„Słoje zadrzewne” Karpowicza – we wrześniu w księgarniach?

Doniesienie z maja 98 r.: jednak dopiero w drugim półroczu tego roku ukaże się w Wydawnictwie Dolnośląskim zbiór Tymoteusza Karpowicza **Słoje zadrzewne**. Jak się dowiedziałem, prace drukarskie nieco się przedłużyły: tom ma ponad 400 stron, być może będzie już w księgarniach zanim ukaże się *Przecinek*. Mniemam, że przed sezonem na słoje na kompoty jabłkowe i śliwkowe. W l. 1960-61 w niektórych księgarniach **Znaki równania** można było odnaleźć na półkach z literaturą matematyczną; teraz **Słoje** powinny trafić także do sklepów ze słojami szklanymi i z artykułami drzewnymi, tam książka zwróciłaby uwagę nie tylko miłośników poezji. Odstepuję (bezpłatnie!) mój koncept red. Janowi Stolarczykowi...

I radość, i melancholia...

Na moim biurku *Odrę* (nr 2/98) M. położyła 18 lutego. Skąd wiem, że akurat 18? Od wielu już lat na kupionych książkach (niekiedy także czasopismach) wypisuję ołówkiem datę – także dlatego, by nie zapomnieć, kiedy daną pozycję przejrzałem po raz pierwszy. Przekartkowałem *Odrę* i odłożyłem na bok, bo zajmowałem się akurat innymi zajęciami. Nawet widziałem tytuł (Sylwy, otwarcia, dopełnienia...) i dwa reprodukowane rysunki (grafiki?). I podpis: Jacek Łukasiewicz. Dopiero na początku marca ktoś (nie powiem kto...) zapytał mnie, czy czytałem w *Odrze* o *Przecinku*. W *Odrze*? Dotąd redakcja nie raczyła nawet odnotować *Przecinka* w rubryce „Publikacje nadesłane”, mimo że o to prosiłem Redaktora. Mam egzemplarz, ale nic tam nie ma – odpowiedziałem. „To zajrzyj na stronę 127”. Rzeczywiście: tam dwa akapity o z. 4. I jakże głaszczące moją próżność! Zacytuję dwa zdania (pod drugim i ja się podpisuję): *Autor-redaktor-wydawca dobrze się bawi, ale nie jest to – podejrzywam – tylko zabawa towarzyska. Pluta jest epikiem rozerwanym między sagą a sylwą*.

Piąty *Przecinek* dostałem z drukarni 24 lutego. Dodam od razu, że niektórych czytelników rozczarowała kartonowa, bialo-czarna okładka („nakrochmalona”, jak napisał żartobliwie jeden z nich): nie mam już czerpanego, chropawego papieru. Mnie też (bardziej niż gładki) podoba się papier dusznicki, niestety, zapasy (i papieru, i groszy) już się wyczerpały, a papier chamois kupiłem jeszcze w PRI-u, a teraz jest nazbyt drogi. Zaskoczyła mnie sugestia pewnego wielce zyczliwego czytelnika: *Cały czas myślę o tym (czy już mówilem?), że po paru latach, kiedy Pan już naprawdę swój zapal „przecinkowy” wyczerpie, rzecz powinna wyjść w książce bez żadnych retuszy i adiustacji; poszczególne nry „Przecinka” byłyby kolejnymi rozdziałami książki. Już dziś mówię: zgoda, imprimatur. Tylko... Właśnie: nie dopowiadam.*

Również sporo zdań (jakże pochlebnych!) poświęcił *Przecinkowi* Leszek Bugajski w swej stałej rubryce „Wśród czasopism” (*Twórczość* 1998, nr 5). Autor po lekturze z. 5 (i poprzednich) przedstawia i taką (nieco zaskakującą!) opinię: *Wyobrażam sobie, że tworzenie „Przecinka”, choć zapewne związane i z kosztami, i z kłopotami natury organizacyjnej, daje Plucie wielką radość. Tak, na pewno jakaś radość (raczej skromna niż duża) jest, ale dopiero po ukazaniu się zeszytu: trwa nie dłużej niż kilka minut. To i tak długo. A potem znowu melancholia: po co na co komu czemu...*

Pewien znajomy miał mi za złe, że chwalebę się fikcyjnymi zaproszeniami (np. do Ambasady Szwajcarii). Tłumaczyłem mu, że to narrator-bohater „Tysiąca pierdołek” się przechwala, ale widzę, że go nie przekonałem. Zagrałem pokerowo: a to co? I podsuwam mu pod oczy kartonik-zaproszenie. No wiesz, na żartach się nie znasz – dodaje jednocześnie a obłudnie.

(V/98)

Pour la remise du Prix
Koscielski 1996 (Poésie)

La remise du prix aura lieu à 19h00

L' Ambassadeur de Suisse et Madame

Jean Olivier Quincho

préint *Monsieur J. Pluta*

de leur faire l'honneur de venir à une réception

le mercredi 4 décembre 1996 de 18h30 à 20h30 heures

Résidence: Plékhia 10a
TEL. 629 20 12

Regrets only
TEL. 628 04 81

Śnić, śnić

Czy są ludzie, którym nic się nie śni? Chyba nie. Tylko nieliczni o swoich snach opowiadają, a jeszcze mniej liczni je zapisują. Natomiast w bibliotekach tysiące dzieł, w których mowa także o snach. I w baśniach, i epejach, i prozie realistycznej. I w Biblii, i u Homera. U Szekspira, i u Kafki. A co mniemać o sennikach (o tych serio, i o tych jarmarcznych)? O Freudzie i freudystach nawet nie warto wspominać. Jak zapisywać sny? Jak je interpretować? Czy są prawdziwe, czy tylko zmyślane? Mówię o tych zapisanych. Sny, które nas przerażają, i sny tajemnicze, i sny bajkowe. A sny podróżnicze, które mnie męczą od pół wieku? I ja zapisałem niemało snów: i tych prawdziwych (np. „Śnił mi się Bruno”) i tych częściowo zmyślonych (**Sto czyżyków**).

Gdy w *Twórczości* pod koniec lat 80. zaczęły się pojawiać zapisy snów Henryka Berezę (i to pod homerycko autoironicznym tytułem), wcale się nie dziwiłem ich „fabułem”, bowiem stanowiły poniekąd ciąg dalszy jego esejów i szkiców o pisarzach. Zebrane w książce (**Oniriada**. Zapisy z lat 1976-1996, „Skotnica”, Warszawa 1997) czyta się nieco inaczej: i lepiej (setki wątków!), i gorzej (niekiedy zdarzenia przerażają, deprymują itd.). Niestety, brak indeksu nazwisk, a w **Oniriadzie** setki nazwisk, dziesiątki miejscowości. Oto sny rodzinne i literackie. Czasem i bohaterkie (np. rozmowa ze Stalinem). Głównymi bohaterami zapisów Berezę są niewątpliwie Jarosław Iwaszkiewicz i Marek Hłasko. Czyż fragmenty o tych (i innych) pisarzach nie powinien w przyszłości autor włączać (np. na prawach PS) do swoich szkiców i esejów? Wyobrażam sobie książkę Berezę złożoną z jego szkiców o Iwaszkiewicz i fragmentów **Oniriady**... Warszawa i Skierniewice to główne oniryczne miejscowości. Nawet nie wiedziałem dotąd, że istnieje rzeka Rawka, a teraz chciałbym ją zobaczyć. Może widziałem ją z pociągu, jadąc do Warszawy? W mądrym wstępie

Bohdana Zadury czytam także zdanie niemądre: *Jeśli literatura przetrwa, miejsce Henryka Berezę w jej historii może być bardziej miejscem autora „Oniriady” niż miejscem krytyka literackiego (...)*. Hm, wielce to dwuznaczna pochwała! A po drugie: dlaczego literatura miałaby nie przetrwać? No tak, jeśli bombki... Oczywiście, zapisy Berezę są dziełami autonomicznymi, ale zarazem nie powinno się ich czytać w oderwaniu od innych jego tekstów. Co właściwie robi Berezę? Zapisuje obrazy, streszcza rozmowy. Krótko, sucho. I wychodzą poematy prozą. Nie komentuje, ale czasem pojawiają się pozasenne dopowiedzenia (że np. dana postać dawno nie żyje, albo jakie kiedyś nosiła nazwisko). **Oniriada** to dzieło prozatorskie, lecz nie zdziwię się, jeśli zainteresują się nią psychoanalitycy (czy są tacy w Polsce?). Ale nie jestem ciekaw, co też powiedzą...

Pisać, pisać

Pisanie o snach jest przeważnie bzdurą, zapisywanie snów wymaga wobec nich największej lojalności – napisał Berezę do Dariusza Bitnera 17 lutego 1997. Czyż to nie najlepszy komentarz do **Oniriady**? Najnowszą książką Berezę są **Epistoły** (Basil, Szczecin 1998), zawierającą kilkanaście szkiców i kilkadziesiąt listów z l. 1990-1997 do Bitnera (drukowanych w ostatnich latach w *Twórczości*, w stałej rubryce „Czytane w maszynopisie”).

W listach-eseikach, będących przede wszystkim osobistymi przekazami krytyka-„ojca” do pisarza-„syna”, najciekawsze wydają mi się zdania-wtrącenia, zdania-polemiki, często niby żartobliwe, autoironiczne. „Ojciec” jest dumny z „syna”, lecz zarazem boleje, że słucha on czasem także innych bogów. A zarazem dodaje usprawiedliwiająco: *Nie jestem doktrynerem, fundamentalistą* (12 XI 97). Co pisał „syn”? Nie wiemy...

Książki nie nadesłane...

Ernest Dyczek, **Dzienniki**. T. 1: 1953-1964, Usługi Wydawnicze Ernest Dyczek, Wrocław-Lędyczek-Salzburg 1999.

Nakład wyjściowy serii A tylko... 20 egz. Ale aż 400 stron! Hm, zastanawiam się, czy nie pozwać autora do sądu; dzięki indeksowi nazwisk od razu dotarłem do kilku fragmentów, w których i o mnie mowa. Nie, tego nie mogę puścić płazem: same poprzekęcane opinie, zniekształcone cytaty itd. O innych wcale nie lepiej (a nawet gorzej, także o tych wrocławianach, którzy figurują w encyklopediach). A co będzie w następnych tomach? Nieco dziwny sposób upowszechniania książki: można ją zamówić (za pobraniem pocztowym) tylko w wydawnictwie (tel. 071/516319). W przygotowaniu edycja salzburska (w dialekcie tyrolskim). No tak, autor zapowiada we wstępie, że wydrukuje tyle egzemplarzy, ilu będzie zamawiających, bo szkoda lasów. To prawda: twarde dyski nie płoną...

Tadeusz Lewandowski, **Rafał Wojaczek**, Czytelnik, Warszawa 2003.

Pierwsza tak obszerna biografia poety, który za życia prowokował i sposobem życia, i wierszami. To już ósma (!!) książka o życiu autora **Innej bajki** (natomiast o jego twórczości nie ukazała się ani jedna), chyba najlepsza, bowiem oparta nie tylko na materiałach drukowanych i archiwalnych, lecz także na wyznaniach znajomych poety. Lewandowski dotarł do ponad 50 osób, w tym także – do mieszkających obecnie zagranicą. Pamiętam jak red. A Kosińska wspominała, że cenzura przyczepiła się do dedykacji G. L., że to może ironiczna aluzja do... Gwardii Ludowej; w ossolińskich **Utworach zebranych** (a może już w zbiorze **Którego nie było**) podano więc

pełne imię i nazwisko (i do tej osoby autor dotarł). Lewandowskiego interesują tylko te elementy biografii poety, które wiążą się z jego twórczością (np. alkohol, kobiety, choroby itd.), nie więc nie pisze o wielkiej namiętności Rafała (wspominał o niej nieraz), czyli o... łowieniu pstrągów gołymi rękami w sudeckich potokach, bo o niej nie ma nawet aluzji w wierszach. Niesłusznie natomiast zlekceważył inne hobby, a mianowicie – pisanie wierszy w klozetach (por. znamienne zaprzeczenie w poemacie o J. Stycznii). Nie ma tu taniej sensacji, to solidna robota polonisty i miłośnika poezji (prawie 500-stronicowa książka zawiera ponad 100 stron przypisów!). Po prostu: wartościowa i zajmująca książka.

Jacek Łukasiewicz, **Bonjour M. Gauguin**. Wiersze i notatki o obrazach, Tow. Przyjaciół Polonistyki Wrocl., Wrocław 2001.

Książka nie jest zaskoczeniem: Łukasiewicz nie jeden wiersz napisał o obrazach, które go zafascynowały. Jest zresztą znawcą sztuk pięknych (do dziś pamiętam jego wnikliwe uwagi o niderlandzkich martwych naturach w Galerii Narodowej w Pradze, które razem oglądaliśmy w październiku 1992 r., niestety, zbyt krótko). W książce – 44 teksty (głównie to wiersze) i 44 kolorowe reprodukcje obrazów z muzeów zagranicznych. Są tu wiersze zarówno o sławnych obrazach (np. „Statek głupców” w Luwrze, „Leda z labędziem” w Zwingerze), jak i o mniej znanych, wiszących w regionalnych muzeach włoskich. Dlaczego francuski tytuł? To tytuł słynnego obrazu Gauguina z 1889 r. (obecnie w Galerii Narodowej w Pradze): kobieta pozdrawia malarza stojącego na drewnianym mostku. Kim jest ta tajemnicza kobieta, której twarzy nie widzimy? Służącą idącą na targ? Kurtyzaną na przechadzce? Chyba nigdy się nie dowiemy.

Książki nadesłane...

Walter Abendroth, **Arthur Schopenhauer**. Przel. Ryszard Rózanowski, Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1998.

Barbarzyńcy i nie. [Arkusze poetyckie:] Miłosz L. Biedrzycki, **Trecnok w Emelbe**; Mariusz Grzebalski, **Boks szlachetna sztuka samoobrony**; Tadeusz Pióro, **Piuro Podróży Kasablanca**; Adam Wiedemann, **Długo w noc-Sonata**, Centrum Sztuki-Teatr Dramatyczny, Legnica 1998.

Wolfgang Bittner, **Wo die Berge namenlos sind**, Bertelsmann, München 1998 (Omnibus. B. 20045).

Anna Dąbrowska, **Język polski**, Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1998 (A to Polska właśnie).

Janusz Drzewucki, **Podróż na południe**. (Wiersze z lat 1986-1995), Cracovia, Kraków 1997.

Piotr Gojowy, **Grafika**, Labirynt, Bydgoszcz 1997 (Galeria Autorska).

Wacław Grabkowski, **Guz w fiolkach**. Słowo wstępne: Marianna Bocian, Biuro Tłumaczeń, Wrocław 1998.

Janusz Kryszak, **Rzeczywistość trzecia**, Kuj. – Pomorskie Towarzystwo Kult., Bydgoszcz 1997 (Biblioteka Oddz. Bydgosko-Toruńskiego SPP).

Krzysztof Kunica, **Malarstwo**, Labirynt, Bydgoszcz 1997 (Galeria Autorska).

Marzenia, sny, przeczucia... Träume, Vorahnungen..., Polsko-Niem. Towarzystwo Lit., Berlin 1997 (WIR. Edycja Lit. nr 4).

Wojciech Nadratowski, **Malarstwo**, Labirynt, Bydgoszcz 1997 (Galeria Autorska).

NRD-PRL literatura niezależna. DDR-VRP unabhängige Literatur, Polsko-Niem. Towarzystwo Lit., Berlin 1996 (WIR. Edycja Lit. nr 3).

Krzysztof Pleśniarowicz, **Kantor**. Artysta z końca wieku, Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1997 (A to Polska właśnie).

Polonische Dichterinnen. Urszula Koziol, Ludmiła Marjańska, Wisława Szymborska, Polnisches Institut, Leipzig 1996.

Szare kamyki. (Andrzej Grzyb, Wiersze i małe prozy; Wojciech Nadratowski, Obrazy), Labirynt, Bydgoszcz 1998 (Galeria Autorska).

Stefan Szymutko, **Zrozumieć Parnickiego**, Gnome Books, Katowice 1992.

Tablica Piwna, Bractwo Gwareckie Wr. Kopalń Surowców Miner., Wrocław 1997.

Henryk Worcell, **Zakłęte rewiry**. Posłowie: Jerzy Pluta, Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1998 (Biblioteka Klasyki).

Jerzy Zegarliński, **Fotografia**, Labirynt, Bydgoszcz 1997 (Galeria Autorska).

Lucjan Zuzia, **Zapłątany duch**. Wstęp: Krzysztof Lisowski, Fall, Kraków 1997.

Orali, kopali,
Jo na piecu leiał!

(Komu, komu miałta?)

Jak pristo do jodta,
To jo piyrny bieriat.

(Teraz lyy, bo trzyńwiejta,
I watej kotodrieja...)

Orali, kopali —
I co z tego mieli?
(Wszystkim nakapali...)

= Górnosłaska śpiemka z XIX w.
— z uzupełnieniami Piotra
Czyżyka =



Oto zdjęcie szarego człowieka, jednego z anonimów XX wieku, wykonane na początku października 1945 r. pod Iławą przez urzędowego fotografa.

Kogo przedstawia? Dlaczego zostało zrobione właśnie tam? Przeczytaj „Podróż na Wschód w 1945 roku”.

Kto to powiedział :

aluzjy ty poniat?

Niebezpieczne związki

Kierowca i telefon

Wielka improwizacja

JELEŃGÓRSKIE. XXII Bieg Piastów

Zazdrość i medycyna

PRZED SĄDEM. Lekarka współoskarżona o zabójstwo

Prokurator na stryczek! Ojciec Tadeusz powinien dostać Nobla!

Most nad rzeką mleka

NA SPOŻYWCZYM RYNKU. Z polskim nabiałem do Unii Europejskiej

Pilkarze do piłki... ... pisarze do piór!

CZECHY. Esbek bał się, że jak umrę, to on nie dostanie awansu

Kafka ma swój proces

Josef Kafka w końcu stanął przed sądem. Unika wzroku publiczności, dziennikarzy. Czuje się osaczony. Powtarza uparcie, że nie krzyczał, nie bił, nie przypalał